

Nowiny Kulturalne

12.08.2026



TESSERACTS X JANVO
Tauron Piątki Kultury

fol. Michał Buksa



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
w ramach programu „Bliska kultura”

ARCHIWA POKAZUJĄ SUCHY PROCES: PLANY, WYSIEDLENIA, METRY SZĘŚCIENNE BETONU. DOPIERO GDY POJEDZIE SIĘ NA KRAWĘDŹ ODKRYWKI, STANIE TAM, GDZIE KIEDYŚ TĘTNIŁO ŻYCIE, I ZACZNIE ROZMAWIAĆ Z LUDŹMI, ZACZYNA SIĘ ROZUMIEĆ SKALĘ.

Z prof. Martą Tomczok, historyczką literatury zawodowo związaną z Wydziałem Humanistycznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach i Pawłem Gradkiem, dziennikarz, pasjonat lokalnej historii, rozmawia Małgorzata Lichecka.

Kiedy patrzymy na mapy polskiego przemysłu, widzimy liczby: tony wydobytego węgla, megawaty energii, hektary przekształconych gruntów, tysiące domów, które zniknęły w imię „wyższego dobra”, ogrody zasypane przez hałdy. Wydaje się, że motywem przewodnim „Blizn. Krajobrazie po przemysle” jest Zmiana. Opowiedziała ją pani poprzez losy ludzi.

Uprzemysławianie i jego konsekwencje miało swój początek w latach pięćdziesiątych w Nowej Hucie. Nie opowiedziałam tej historii w „Bliznach” z różnych powodów, jest jednak obecna na przykład w rozdziale poświęconym Koninowi, pokazującym zapisywane przez dziennikarzy i reporterów losy mieszkańców m.in. okolic Kleczewa. Ci mieszkańcy reagują w bardzo gwałtowny, dramatyczny sposób na wieść o wysiedleniach, koniecznych z powodu rozbudowy odkrywek, wcześniej prowadzonych wokół Konina przez Niemców. W Tarnobrzegu, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, rozbudowywał się tamtejszy okręg przemysłowy. Ludzie musieli się przenieść, a władza wskazywała im jakieś lokalizacje, na przykład w Bieszczadach. I znowu widzimy przerażenie, niezgodę, bardzo zbliżone do tego co działo się w Nowej Hucie czy Koninie, bo ci ludzie byli przekonani o tym, że mieli bardzo dobre ziemie, więc trudno im się pogodzić z tak drastyczną Zmianą jaką zafundował im PRL. W końcu Bełchatów - najdłuższa historia z największą liczbą rozdziałów. Czy te losy są różne czy podobne? Moim zdaniem bardzo zróżnicowane. Patrząc dziś na wiele miejsc, w których zbudowano kombinaty, fabryki, elektrownie, gdzie



Istne raje

ziewają wykopane doły, częściowo już zalane, często nie myślimy o tym, że w tych przestrzeniach mogły się rozgrywać ludzkie historie. Dlatego ich odkrywanie wydawało się tak interesujące. Słyszę od czytelników, że opowieści, biografie, się powtarzają, a nawet trochę zlewają, owszem mają podobne scenariusze, ale każdy ma innych bohaterów z innym bagażem. Jedną z istotniejszych kwestii wybrzmiewających w książce, widocznych w cytatach, jest brak wsparcia dla wysiedlanych i ich ogromna samotność. Oni czuli, że coś może się wydarzyć i w tym stanie, bardzo wyczerpującym, stresującym, mijały im kolejne lata.

Czy w latach 50., 60., kiedy zaczęły się procesy uprzedmiotowienia, szalonego, bez względu na koszty w krajobrazie czy ludzkie, ktokolwiek myślał wówczas o konsekwencjach za, powiedzmy, 20, 30 lat?

Polska nie była jedynym krajem wydobywającym węgiel brunatny, czyli surowiec powodujący największe zniszczenia. Sąsiedzi robili podobnie i na znacznie większą skalę. Zresztą robią to do dzisiaj. Inżynierowie górnictwa węgla kamiennego pokazują, że są w stanie krytycznie myśleć o niektórych wyborach, ale przy węglu brunatnym tak nie było. Okazał się ważnym paliwem przyszłości i nie można go wydobywać nie

wysiedlając ludzi całymi wsiami, miasteczkami. Wielka dziura w ziemi jest obowiązkowa. Ułatwiała ten proces, szczególnie w niektórych postzależnościowych krajach bloku wschodniego, takich Czechy czy Polska, nieswoja kultura, na przykład poniemiecka. Dzisiaj na pewno ciekawszym problemem jest to, co będzie się działo z tymi terenami, jak i czy w ogóle zostaną rekultywowane.

Opisuje pani nasadzenia 25 milionów drzew. Czy ta rekultywacja rzeczywiście jest dobra i co na to ci, którzy już nie mieszkają na tych terenach i widzą nową naturę w zupełnie innej skali?

Rekultywacja w przypadku krajobrazów poodkrywkowych jest absolutną koniecznością ze względu na ich dynamikę, monstrualność i nietrwałość. Zupełnie inaczej obchodzono się z hałdami w Szczegłowicach niż w Bełchatowie. Tam trzeba było poczekać aż przyroda sama zagospodaruje hałdy.

Jak bohaterowie książki na to patrzą?

Wielu z nich to górnicy, rekultywacja była częścią ich pracy.

Na hałdach jest już inna roślinność..

Na zwałowiskach poodkrywkowych pojawiają się rośliny z innych obszarów Europy, uznawane za

zbyt ekspansywne, albo szkodliwe, albo, tak jak rokitnik, szybko się rozrastające, jest także bardzo dużo zwierzyny, więc przyroda wraca. Natomiast są to już zupełnie inne przestrzenie niż te, które ci ludzie opuszczali. Co więcej, z wyjątkiem Góry Kamieńsk, dziś są one zamknięte, nie można tam ot tak sobie swobodnie wchodzić, a Góra dla mnie była dosyć opuszczonym miejscem, choć to teren „turystyczny”, zagarnięty przez biegaczy czy biegaczki.

Książka skonstruowana jest jak film dokumentalny z sugestywnymi, plastycznymi, obrazami. Wykorzystała pani bardzo zróżnicowane materiały: filmowe, prasowe, dzienniki, teksty publikowane i niepublikowane, rozmowy, dokumenty z archiwów rodzinnych, artefakty, które robią emocjonalną aurę „Blizn”. Czy istniała konkretna mapa, według której się pani poruszała?

Unosi się nad tym wszystkim przekleństwo mojej docieklowości. To taka moja mała przywara i być może gdyby nie ona, gdybym nie była aż tak obsesyjnie ciekawa wszystkiego i wszystkich, pewnie poszłoby przy „Bliznach” łatwiej. Jednak uznałam za ciekawe to, że tyle języków i narracji jest w stanie opowiedzieć, na wiele sposo-

bów, te historie, często pokazując ich wewnętrzną sprzeczność. Jak chociażby kontekst reportersko-dziennikarski ujmujący dobry literacko, wręcz fascynujący. Który kompletnie nie zgadzał się ze wspomnieniami wysiedlanych ludzi. W pewnym momencie pomyślałam: skonfrontuję te dwie wizje. Zdjęcia z kolei wydawały się arcyciekawe w dopowiadaniu, czułam z nimi szczególną bliskość. Istotne okazały się materiały filmowe: reportaże, kroniki, filmy środowiskowe powstające w latach 70-tych i 80-tych. Udało mi się je odnaleźć między innymi w archiwum cyfrowym telewizji. Jestem empiryczna, muszę bardzo dobrze widzieć przestrzeń, najlepiej na żywo, dlatego tak ważne były podróże i swobodne poruszenie się w krajobrazie. Bardzo chciałam tam być i sama przeżyć się po miejscach, o których miałam napisać. Archiwa pokazują suchy proces: plany, wysiedlenia, metry sześciennie betonu. Dopiero gdy pojedzie się na krawędź odkrywki, stanie tam, gdzie kiedyś tętniło życie, i zacznie rozmawiać z ludźmi, zaczyna się rozumieć skalę. Często szukałam śladów, których prawie nie ma – dzikiego bzu rosnącego tam, gdzie kiedyś był płot, albo zdziczałych jabłoni na skraju wielkiego wykopu. Na tej mojej mapie były czyjeś domy, mieszkania, jak to w którym przy stole usiadłszyśmy do wspólnej rozmowy z malarką Dorotą Koziół.

Jak przekonywała Pani tych ludzi do zwierzeń o rzeczach trudnych, wręcz traumatycznych. Żeby mówili otwarcie, prawdziwie, z emocją, nie frazesem?

Dużo nauczyłam się od osób związanych ze stowarzyszeniem z Woli Grzymaliny. Dla nich w opowiadaniu o przeszłości ważne są emocje. Tam nabrałam przekonania o swobodnym sposobie snucia opowieści. Owszem, można zadawać pytania, ale najlepiej dać się ludziom wygadać. Trzeba po prostu cierpliwie czekać, a potem cierpliwie słuchać. Opowieść była ich własnością. Spotkania, i kameralne, i grupowe, sprawiły, że miałam w sobie bezwzględną dyscyplinę dla cudzego słowa.

„Blizny” składają się z rozmów. Czy zdarzyło się, że chciała pani opowiedzieć w książce, a bohater/boha-

terka nie bardzo chcieli jej użyć.

Jakoś intuicyjnie szukałam ludzi, którzy, pod wieloma względami, mi się spodobała, ale bohater też musi chcieć być bohaterem. Paweł był taką osobą. Dzięki niemu dobrze mi się pracowało w Szczygłowicach.

No i chyba w Woli Grzymalinie.

Też, dzięki Jarosławowi Rogozińskiemu, który urodził się w Woli Grzymalinie w 1969 roku i mieszkał tam do piętnastego roku życia. Był też pracownikiem kopalni Bełchatów, teraz jest prezesem stowarzyszenia Ojcowizna Wola Grzymalina. Na oprowadzanie mnie po miejscach, gdzie znajdowały się wysiedlone wioski poświęcił sporo czasu. Najtrudniej było w Burowcu. Brakowało osób, które czułyby związek z tym miejscem, ale w końcu trafiłam na Michała Jędrykę. To on pierwszy w 2020 roku przerwał milczenie wokół miejsca na Burowcu skąd wysiedlono rodziny z dziećmi. Tym przerwaniem milczenia była opowieść reporterska „Ołowiane dzieci. Zapomniana epidemia”.

Mnie się bardzo dobrze, metaforycznie, siadało do stołu z Marią Kozłową i Ludwikiem Holeszem. Fajterami na różnych poziomach, zajmujących się pamięcią o swoich miejscach. To są moi ulubieni bohaterowie „Blizn”.

O Machowie mającym ścisły związek z Marią Kozłową dowiedziałam się przypadkiem przeglądając archiwum Tarnobrzezkiej Biblioteki Cyfrowej. Tam znalazłam „Lamenty machowskie”, zbiór wierszy napisanych przez wysiedleńców Machowiaków. To ludzie ze wsi z prawej strony Wisły położonej pięć kilometrów od Tarnobrzega. Nic mi te wiersze nie mówiły, ale gdy je przeczytałam dotarło do mnie ich nieszczeście związane z wysiedleniem. Maria Kozłowa stworzyła w jednym z wierszy, tym z 1969 roku, listę strat. Tego co utraciła ona i mieszkańcy Machowa. Decyzja o wysiedleniu całej wsi pod budowę kombinatu siarkowego nie była dla Kozłowej jedynie zmianą miejsca zamieszkania czy zwykłą przeprowadzką. Dla niej i innych mieszkańców wysiedlenie oznaczało ostateczne zerwanie z terytorium osobistym, zniszczenie intymnej więzi z kawałkiem oswojonej ziemi.

W „Bliznach” napisała pani o tym tak: [...]To był koniec jej prawdziwego świata [...], a Jerzy Bartyński, którego cytuję pani w rozdziale poświęconym Machowowi dodaje, że [...] Maria Kozłowa od 1969 roku przebywała na duchowym wygnaniu[...].

Jej wiersze były protestem. Odpowiedziała przemysłowi literaturą. I robiła to nieustannie, pisząc. Ale nie o kopalni siarki. Kresliła w swojej poezji pejzaże wysiedlanego krajobrazu, pisała o tym, co widziała, przemierzając tereny, przestrzenie, miejsca, które zmieniały się bezpowrotnie. I o tym rozmawialiśmy przy stole w małym przytulnym mieszkanku Doroty Kozioł, córki Marii Kozłowej, kustoszki pamięci o matce i o Machowie.

Pawle, jak się poznaliście?

Paweł Gradek: Był luty 2025 roku, sobotnie popołudnie. Odebrałem wiadomość. Marta pisała w niej, że jest po lekturze mojego artykułu opisującego drugi akt zagłady starych Szczygłowic, czyli rok 1997 i powódź tysiąclecia. Wtedy dowiedziałem się o książce, że powstaje i szkoda by było żeby ten wątek się w niej nie pojawił. Ucieszyłem się, bo Czerwone Osiedle nie doczekało ani literackiego ani fachowego opracowania z wyjątkiem artykułu Małgorzaty Sarapkiewicz z 2002 roku. Dotarła do ludzi z osiedla i oni jako pierwsi opowiedzieli jej swoje historii, podzielili się też zdjęciami. Dzisiaj tych ludzi już nie ma, więc to był ważny trop, punkt wyjścia. Gdy likwidowano Czerwone Osiedle Marta miała 5 lat, ja dopiero się urodziłem, więc była to dla nas terra incognita

Co ty Pawle, jako dziecko, wiedziałeś o Czerwonym Osiedlu?

Paweł Gradek: Kiedy z rodzicami jeździliśmy do wujostwa, do Szczygłowic, za każdym razem słyszałem: tutaj stało Czerwone Osiedle. Tutaj, czyli na wysypisku śmieci, które później zalano wodą. Ulicę Korfańtego zniszczyły szkody górnicze do tego stopnia, że zamiast biec prosto zjeżdżała. Zanim, w powrotnym kursie, autobusy pokonywały górkę, wypuszczały pasażerów pozbywając się balastu. Ludzie szli pieszo i wsiadali dopiero gdy autobus dotarł na szczyt.

Jak widziałeś swoją rolę podczas przygotowywania materiałów do „Blizn”?

Paweł Gradek: Poddaje tropy, podsuwam rozmówców. I tyle. A zostałem w to wpłątany dość poważnie... Kiedy dowiedziałem się, że Marta pracuje nad tematem

Czerwonego Osiedla poczułem ukucie zazdrości, takiej pozytywnej, bo cieszyłem się, że Szczygłowice zostaną w tej książce ocalone. Marta Tomczok: Dla mnie i mojej mamy, która czytała tekst, na który natknęłam się zabierając się do pracy nad Czerwonym Osiedlem, była to zgrabnie napisana miniatura. Pomyślałam sobie: skoro jest taki Paweł w Knurowie, z taką pasją i niezłym piórem, dlaczego nie stworzą tam archiwum społecznego? Potem poznaliśmy się i okazało się, że Paweł nie za bardzo ma czas na pracę przy takim archiwum, choć zbiera i opisuje historię Knurowa i Czerwonego Osiedla, więc już wspólnie uznaliśmy, że trzeba tę przestrzeń wytworzyć, spróbować zebrać jak najwięcej historii.

Czyli praca badawcza w Szczygłowicach, oddolna, na dużą skalę, rozpoczęła się kiedy zaczęliście gromadzić materiały i spotykać się z mieszkańcami i mieszkańkami osiedla?

Paweł Gradek: Już wcześniej, w ramach mojej dziennikarskiej pracy, udawało mi się zbierać takie relacje i to dosłownie w ostatnim momencie, bo wielu mieszkańców jest wiekowych, pamięć zawodzi. Już pierwsze spotkanie uświadomiło nam, że w ludziach są naprawdę niesamowite pokłady życzliwości, otwartości i chęci snuć opowieści. O Józku Gumiennym, którego pewnie znasz, dowiedziałem się przez przypadek rozmawiając z jego żoną na zupełnie inny temat. Wiedząc, że zajmujemy się Czerwonym Osiedlem, powiedziała: „mój Józek jest stamtąd”. Więc ja od razu do Marty i mówię, że mam już pierwszego rozmówcę. Który wniósł naprawdę wiele ciekawych tropów: opowiadał o przelatujących nad osiedlem eskadrach samolotów lecących do tłumienia protestów w Czechosłowacji w 1968 roku, o czołgach jadących na Czechosłowację, które widział na ulicy Świerczewskiego.

Marta Tomczok: To jest taka modelowa historia dla tej książki, dla przypadków wysiedleń, ludzkiej wspólnoty, której nie da się po 40 latach od jej reorganizacji odtworzyć inaczej niż poprzez rozmowy. Nie ma jej w archiwach, nie ma jej w literaturze, bo wiele z tych miejsc nie doczekało się żadnych literackich opowieści. Dlatego, że są absolutnie nieletterackie. Właśnie po tym przypadku widać, że nie da się historii osiedli, wsi, które zniknęły, opisać, inaczej niż wchodząc w kontakt z ludźmi i inicjując te opowieści. Robiła tak Monika Głosowicz, spisując historie kobiet z rodzin górniczych i dając

swoim bohaterkom pole do snucia opowieści czy Karolina Jakoweńko w Będzinie.

Paweł Gradek: Bardzo często słyszeliśmy od naszych rozmówców i rozmówczyń, tu w Szczygłowicach, że spóźniliśmy się o 20, 30 lat.

Marta Tomczok: Z drugiej strony, w tamtym czasie nie mielibyśmy z kim rozmawiać. Słyszeliśmy jak bardzo byli traumatyzowani tym, że Czerwone Osiedle zniknęło i musieli się stamtąd wyprowadzić. To było pokolenie pamiętające II wojnę światową, a osiedle kolejnym etapem ich życia. Myśleli: już jest spokój, nic gorszego nas nie spotka. Ale spotkało. Natomiast ich dzieci miały inną perspektywę, bo w losie większości z nich i tak było zapisane odejście/wyjście/wyjazd z Czerwonego Osiedla. Dlatego są zdystansowani i potrafią o tym opowiadać, choć są w tych opowieściach informacje na temat tego, jak bardzo ich rodzice nie potrafili pogodzić się z taką stratą.

Przyszliście na pierwsze spotkanie z gotowym zestawem pytań. Ale ich nie zadaliście, bo role się odwróciły.

Paweł Gradek: Krzesła ustawiliśmy w kręgu. Ludzie siadali...

Marta Tomczok: Zepsuł się mikrofon...

Paweł Gradek: No i przyszło znacznie więcej osób niż myśleliśmy, a chyba mogliśmy się tego spodziewać, skoro nawet księża z ambon zapraszali na to spotkanie. Ci ludzie, po wielu, wielu latach mogli się zobaczyć po raz pierwszy. Prosił o podawanie panieńskich nazwisk, żeby zorientować się, kogo mają przed sobą. No i nie mogli się nagać. Zrobił się taki szum, że nie byliśmy w stanie przebić się przez sfatygowany głośnik i zadać naszych pytań.

Ale przecież nie mieszkali od siebie daleko, więc dlaczego nie chcieli kontaktu?

Marta Tomczok: Paweł użył kiedyś bardzo trafnego sformułowania: świadomość historii lokalnej. Mieszkańcy Czerwonego Osiedla uznali, że ich losy się w nią nie wpisują. Po prostu nie ma o czym opowiadać.

Paweł Gradek: Jeżeli rozmawiamy o Szczygłowicach najczęściej pojawia się kopalnia. Niewielu interesuje co było przed nią, jak wyglądała zanim powstała. I oto na tym spotkaniu pojawiły się osoby, które przyniosły zdjęcia z przeszłości. Ściągnęłam z geoportalu fotografie lotnicze pokazujące zupełnie inne Szczygłowice. Widać na nich nadleśnictwo, stawy hodowlane za-

sypane później przez hałdy, osiedle z piętnastoma budynkami usytuowanymi wokół czterech placów, boiska, wydeptane ścieżki... coś niesamowitego.

W „Bliznach” dużo jest też sielskości. Dostrzega ją pani i nobilituje. Mówią o niej bohaterowi i bohaterki, dla których jest ona trochę jak ...

Marta Tomczok: U Mickiewicza. Trzeba stracić, żeby tę sielskość docenić. Zastanawiam się teraz czy nie za bardzo poszłam za idealizacją bohaterów, ale myślę, że nie, bo przecież nie odkryliśmy jeszcze wielu rajów. Dla mnie miejscem, trochę rajskim, było Dębieńsko Stare. Małeńka osada, w której przez jakiś czas mieszkaliśmy. Trzeba pamiętać, że do wielu miejsc na Górnym Śląsku przyjeżdżali wczasowicze. Do Szczygłowic też. Opowiadał mi o tym jeden z naszych bohaterów, który przeprowadził się tam z Makoszów. Podobnie do Piasków pod Bełchatowem, tam też plażowano i wypoczywano, bo nie wszyscy mieli pieniądze na Sopot, Kołobrzeg czy Rabkę.

Czy historia o Czerwonym Osiedlu będzie miała dalszy ciąg?

Paweł Gradek: Taki jest plan. Pracujemy nad czymś w rodzaju ballady podwórzowej, taki ukłon w stronę historii mówionej i wobec mieszkańców Czerwonego Osiedla, którzy są naprawdę fantastycznymi rozmówcami i mają historie zahaczające nawet o czasy II wojny światowej, tłumienie praskiej wiosny, stan wojenny. Druga książka będzie porównaniem Czerwonego Osiedla z Trzecią Kolonią w Knurowie. Czyli dwa osiedla, dwie wspólnoty, powstałe w zupełnie różnych latach.

[...]Taka jest natura wysiedlenia, że zostaje zawsze z człowiekiem. Nieistotne, czy potem narastają na niego niczym nowa skóra hałdy, lasy, pojezierza. Tylko to, co było przedtem, się liczy [...]. Wysiedlenie to też pani osobiste doświadczenie.

Marta Tomczok: Wychowałam się wśród rybnickich pagórków ciągnących się od Wodzisławia i Jastrzębia aż do czeskiej granicy. Elementy takiego krajobrazu znajdowały się na obrazie wiszącym w domu mojej babci, ale to moje wysiedlenie nie było takie jak to, które przeżyli mieszkańcy wiosek, do których wkroczył przemysł. Nie tak traumatyczne i bezwzględne.

TKANKI TWÓRCZE

Sprzyjające warunki nie zdarzają się nigdy

Improwizacja z domieszką kontroli, bo przecież nie do końca można ufać otoczeniom. Doświadczenie aktorskie i performerskie zdobywane w walce, czyli poprzez praktykę w bardzo różnych okolicznościach scenicznych. Niezwykła umiejętność wyczucia publiczności. Praca w trudnych warunkach, która hartuje, choć często irytuje do granic możliwości. Emplois przenikliwego obserwatora, który cytuje swobodnie literaturę, muzykę, film i fotografię.

W *Tkankach twórczych*, czyli miejscu, gdzie prezentujemy twórców i twórczynie w kwestionariuszu, **Piotr Chlipalski** - Ulicznik numer jeden.



Twój pierwszy świadomy kontakt ze sztuką?

Pamiętam, że miałem lat może pięć i bardzo chciałem pójść na „Powrót Jedi”, ale wylądowałem na „Piratach” Polańskiego. A potem pamiętam – trochę w ramach mitu założycielskiego Uliczników – jak mając lat może 10, i chorując na coś przez tydzień, obejrzałem w telewizji relację z Festiwalu Teatrów Ulicznych w Jeleniej Górze... tu chyba zdecydowanie miałem więcej szczęścia.

Jak zapamiętałeś swój debiut?

Kostiumowy – raz jako Tytus de Zoo, a potem jako Batman – na balu przebierańców w przedszkolu. W obu przypadkach nikt nie wiedział, kim jestem, choć rodzice dali do pieca z jakością kostiumów. Więc chyba spore poczucie... nieadekwatności i przesunięcia fazowego towarzyszy mi od lat młodości. Potem było kilka łagodniejszych debiutów – na scenie jako Kartofel w jakiejś

szalonej szkolnej inscenizacji w latach bardzo młodości, „Kominiek zgasł” parę lat później; wokalnie w scholi Cantate Deo, wreszcie spontaniczny koncert flamenco (gitara towarzysząca!) na salkach gliwickiej Katedry, okolicie roku 97. Za każdym razem zdziwienie, że nikt się nie zorientował, że nie mam pojęcia, co robię.

Twój najlepszy sceniczny-uloiczny czas?

Trwa. Powoli chyba wiem, co robię, a czasem („Zjadacz Grzechów” / „Objazdowe Nieme Kino” / „Imaginarius”) mam wręcz poczucie, że zupełnie przypadkiem, zmagistrowałem (-liśmy) więcej, niż potrafię (bo, mam również równoległe poczucie, że moi kamraci potrafili wszystko od początku).

Czego nigdy nie pokazałbyś publiczności?

Festiwalowo? Bezsensownego mroku, ani niczego, pod czego powodem pojawienia się na festiwalu, nie potrafiłbym się podpisać. To dość mocno

Piotr Chlipalski

Performer, scenarzysta, producent teatralny, fotograf, filmowiec dokumentalista, twórca ruchomych obrazków; pomysłodawca i dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Artystów Ulicy „Ulicznicy”; współzałożyciel Open Street a.i.s.b.l. Z siedzibą w Brukseli. Dawno temu Laureat Nagrody Prezydenta Miasta Gliwice w Dziedzinie Kultury.

uszczupla moje możliwości wzajemnego mycia rąk z koleżnictwem z branży, ale daje niebagatelny spokój. A jako osoba performatywna... chyba podobnie – niczego, co mnie nie kręci.

Dźwięk, który najlepiej opisuje Twój proces twórczy?

Wrzeciono? Mozolne, zapętlone, powracające okrażenia, z których z czasem rodzą się rzeczy. Jeśli miałyby to mieć jakąś onomatopieczną melodię to... „tun-k-tynk”.

Gdyby nie scena?

Ja chyba nie mam tego problemu (śmiech), bo tych wszystkich innych ścieżek albo już spróbowałem, albo równolegle uprawiam, albo mam w planie spróbować. Wirówka w mojej głowie nigdy nie pozwoliła mi zajmować się tylko jedną rzeczą... Nieustannie więc „Jack of all trades, master of none”, ze sporą dawką chłopięcej radości z samego faktu nieustannego uczenia się nowych rzeczy.

Kim jesteś, kiedy nikt nie patrzy?

Kusi się przywołać Kartofla z pytania o debiut... Ale tak najprościej – może odrobinę mniej staram się, żeby wszystkim wokół było dobrze?

Twoja definicja twórczej wolności?

W dowolnym momencie móc powiedzieć „to ja już Państwu podziękuję”.

Błąd, który najchętniej wybaczasz? – stosunek do niedoskonałości wpisanej w sztukę na żywo.

Pytanie – sobie, czy światu? To może raz na kontrze – czego nie wybaczam światu – to mylnego założenia, że widz/odbiorca nie zauważy, że nie jest dość godny, rozwinięty, kompetentny – i można mu wciskać trociny. A sobie, trzymając się pytania? Powoli uczę się akceptować, że zawsze zabraknie jednego dnia, żeby było najpiękniej. Cytując C. S. Lewisa – „sprzyjające warunki nie zdarzają się nigdy”.

Co po sobie zostawisz?

Przerażającą liczbę zgromadzonych przez lata instrumentów i... niespełnionych nadziei?

Przepytowała
Małgorzata Lichecka

Z RUIN DO FABRYKI PORCELANY.

Finałowy weekend Jazzu w Ruinach na gościnnych występach w Katowicach

Trzeci, a zarazem ostatni weekend tegorocznej edycji festiwalu Jazz w Ruinach odbędzie się w zmienionej lokalizacji. 14 i 15 sierpnia muzycy wystąpią poza Gliwicami – wydarzenie przeniesie się do przestrzeni Fabryki Montana, zlokalizowanej przy ulicy Porcelanowej 25 w Katowicach.

Organizatorzy zaplanowali łącznie sześć koncertów, prezentujących różne nurty współczesnego jazzu oraz projekty łączące ten gatunek z muzyką ludową, funkiem oraz elektroniką.

Piątkowe koncerty w Fabryce Montana

Katowicka odsłona festiwalu rozpocznie się 14 sierpnia o godzinie 18.00 występem formacji Tribute to Polski Jazz. Projekt, za który odpowiada perkusista i producent Tomasz Mądzielewski, to współczesna, instrumentalna oraz wokalo-instrumentalna reinterpretacja utworów klasyków rodzimej sceny. Wśród głównych inspiracji wymienia się kompozycje takich twórców jak Zbigniew Namysłowski, Wojciech Karolak, Janusz Muniak, Jarosław Śmietana czy Zbigniew Seifert, a także repertuar Ewy Bem, Urszuli Dudziak, Krystyny Prońko, Novi Singers oraz grupy Crash. W przygotowanych aranżacjach słyszalne są wpływy muzyki funk, fusion oraz brzmienia bigbandowego. Projekt występował już na takich wydarzeniach jak Mrowna Jazz Festival, Jazz & More, WąbJAZZno Festival czy Jazzbląg. Na scenie pojawi się rozbudowany skład:

Tomasz Mądzielewski – perkusja
Krzysztof Iwaneczko – wokal
Adam Lemańczyk – instrumenty klawiszowe
Jan Wierzbiński – bas
Marcin Elszkowski – trąbka
Jacek Namysłowski – puzon, flet
Grzegorz Pałka – puzon
Jakub Łępa – saksofon
Tomasz Wendt – saksofon



O godzinie 19.30 zaplanowano koncert Michała Barańskiego Quartet z materiałem „No Return, No Karma”. Autorski projekt polskiego kontrabasisty łączy współczesny jazz z rytmiką Bliskiego i Dalekiego Wschodu, europejską wrażliwością oraz elementami rodzimego folkloru. Album ukazał się w ramach serii Polish Jazz. Charakterystycznym elementem występu będzie wykorzystanie konnakolu, czyli tradycyjnej hinduskiej techniki wokalne perkusji rytmicznej, co nadaje kompozycjom specyficzny, powtarzalny charakter. Michał Barański jest laureatem nagród Fryderyka z 2023 roku w kategoriach Artysta Roku Jazz oraz Album Roku Jazz (za projekt „Masovian Mantra”), a jego najnowsze wydawnictwo przyniosło mu kolejne trzy nominacje na rok 2025. W Katowicach artyście towarzyszyć będą Shachar Elnatan (gitara, oud, wokal), Michał Tokaj (instrumenty

klawiszowe) oraz Łukasz Żyta (perkuszja).

Ostatnim punktem piątkowego programu będzie zaplanowany na godzinę 21.00 koncert hiszpańskiego basisty Vincena Garcii. Artysta, poruszający się w stylistyce jazz-funkowej, wystąpi w Katowicach ze swoim międzynarodowym zespołem, promując najnowszy album zatytułowany „VIVACE”. Płyta ta prezentowana jest podczas światowej trasy koncertowej, obejmującej Europę, Amerykę Północną, Azję i Japonię. W repertuarze znajdą się utwory opierające się na połączeniu jazzowej improwizacji, nowoczesnej produkcji z muzyką soul i funk. Basista zyskał międzynarodową rozpoznawalność, koncertując m.in. na Montreux Jazz Festival, North Sea Jazz Festival czy Pori Jazz Festival, a także współpracując z takimi muzykami jak Cory Wong, Jesús Molina czy Steve Vai.

O godzinie 21.00 rozpocznie się oficjalne muzyczne podsumowanie festiwalu, czyli występ formacji Piotr Schmidt Quintet. Koncert odbywa się pod hasłem „Piosenki Komedy bez słów”. Będzie to całkowicie instrumentalne spojrzenie na kompozycje Krzysztofa Komedy, pochodzące w dużej mierze z filmów i spektakli z lat 60. ubiegłego wieku. Liderem grupy jest Piotr Schmidt, wybrany Trębaczem Roku magazynu Jazz Forum w latach 2023 i 2025, którego poprzednia płyta „Ether” zyskała tytuł Jazzowego Albumu Roku 2025. W realizacji tego projektu kluczową rolę odgrywają również saksofonista Grzech Piotrowski oraz pianista Paweł Tomaszewski. Na scenie obok wymienionych muzyków pojawią się Andrzej Świąś (kontrabas) oraz Adam Zagórski (perkuszja). Wykonanie stawia na jazzową improwizację, filmową dramaturgię i przestrzenne narracje, odchodząc od dosłownego odtwarzania oryginalnych zapisów nutowych.

Zwieńczeniem całego wydarzenia będzie Late Night Show, pełniące funkcję after party. O godzinie 22.40 wystąpi formacja LUNAMÉ. Założony przez saksofonistę Macieja Kądziałę projekt odchodzi od klasycznego jazzu na rzecz połączenia improwizacji z elektroniką, muzyką techno, transowym groovem oraz słowiańskimi inspiracjami ludowymi. Projekt promuje materiał oparty między innymi na singlach „Perkun”, „Elektrolit” i „Weles”. Do współpracy przy tworzeniu materiału Kądziałę zaprosił producentów ze sceny elektronicznej, hip-hopowej i alternatywnej, w tym twórców takich jak Envee, MinT, Wuja HZG i Marcin Stanisławski. W Katowicach zespół wystąpi w składzie:

Maciej Kądziałę – saksofon, elektronika
Natalia Kordiak – wokal
Kasia Schmidt-Przeździecka – bas
Staszek Szmigiero – syntezatory, fortepian
Marcin Sojka – perkuszja

mp

Sobotni finał, muzyczne podsumowanie i Late Night Show

Program na 15 sierpnia otworzy o godzinie 19.00 koncert Tamara Behler & Grzech Piotrowski Quintet. Zespół zaprezentuje materiał z debiutanckiej płyty „BÉLAIR”. Projekt opiera się na scenicznym dialogu wokalu i brzmienia wiolonczeli, nawiązując stylistycznie do współczesnego jazzu, muzyki klasycznej, skandynawskiej estetyki w stylu Jana Garbarka oraz elementów world music i słowiańskiego folkloru. Tamara Behler odnalazła swój język artystyczny we współpracy z Grzegorzem Piotrowskim, saksofonistą, producentem i twórcą m.in. World Orchestra. Skład zespołu uzupełnią Piotr Matusik (instrumenty klawiszowe), Jan Wierzbiński (bas), Peter Somos (perkuszja) oraz gościnnie Shachar Elnatan (gitara).

JESIENNA ODSŁONA FESTIWALU ALL'IMPROVVISIO.

Usłyszeć przeszłość na nowo. Mandora, wirtuozi i historyczne sekrety

W nadchodzącym sezonie jesiennym w Gliwicach odbędzie się kolejny cykl koncertów w ramach festiwalu muzyki dawnej All'improvviso. Organizatorzy zaplanowali cztery wydarzenia, które udowodnią, że historyczne brzmienia pozostają inspirujące i otwarte na nowe interpretacje. Muzycy wystąpią w trzech gliwickich lokalizacjach.

Wydarzenie zainauguruje koncert zatytułowany „Bach i wzburzone fale Islandii”, który odbędzie się 11 września o godzinie 19.00 w Ruinach Teatru Victoria przy alei Przyjaźni 18. Przed publicznością wystąpi formacja Barokkbandið Brák. Występ uświetnią tenor Benedikt Kristjánsson oraz Elfa Rún Kristinsdóttir, grająca na skrzypcach i odpowiadająca za kierownictwo artystyczne.



Jan Čižmář, fot. FB

Drugim punktem jesiennego programu będą „Muzyczne odkrycia z Bolonii”. Koncert zaplanowano na 26 września, na godzinę 19.00 w auli Państwowej Szkoły Muzycznej w Gliwicach. Na scenie pojawi się zespół Segreti Armonici. Warto zaznaczyć, że wydarzenie to realizowane jest w ramach wspierającego

wschodzące zespoły programu Sustainable Emerging European Ensembles (S-EEEMERING).

Październikowe występy w Hali Modeli GZUT

Dwa kolejne koncerty festiwalowe przeniosą się do poprzemysłowej przestrzeni Hali Modeli GZUT przy ulicy Robotniczej 2.

4 października o godzinie 19.00 odbędzie się koncert „Musica Rusticana” w wykonaniu zespołu Plaisirs de Musique, pod kierownictwem artystycznym Jana Čižmářa (mandora). Występ ten będzie jednocześnie połączony z oficjalną premierą płyty „Mandorology”, która jest autorskim wydawnictwem festiwalu All'improvviso.

Jesienny cykl zamknie koncert „Ballady zza oceanu”, zaplanowany na 18 października na godzinę 19.00. Przed gliwicką widownią zaprezentuje się zespół The Fine Hand. Wydarzenie to stanowi część inicjatywy European Festivals Fund for Emerging Artists (EFFEA).

Organizatorzy informują, że bilety na wszystkie koncerty z jesiennego cyklu All'improvviso pojawią się wkrótce w sprzedaży i będą dostępne za pośrednictwem platformy Ticketmaster.

mp

TWÓRCZOŚĆ MARKA GRECHUTY OŻYJE PODCZAS PARKOWEGO LATA.

Dzikię wino, nowoczesne brzmienie i wyjątkowy duet

15 sierpnia o godzinie 19.30, w ramach cyklu Parkowe Lato, odbędzie się koncert poświęcony pamięci Marka Grechuty. Z programem zatytułowanym „KRAKÓW – Tak Wiem” wystąpi Artur Gotz. Wydarzenie uświetnią 80. rocznicę urodzin oraz 20. rocznicę śmierci mistrza piosenki poetyckiej, oferując odważne i nowoczesne spojrzenie na jego dorobek artystyczny.

Podstawą koncertu jest materiał z płyty Artura Gotza „W dzikię wino zaplątani”. Zamysłem projektu nie jest naśladowanie legendy, lecz nadanie klasycznej twórczości nowego znaczenia. Aranżacje łączą tradycję ze współczesnym brzmieniem, dzięki czemu piosenki mają szansę dotrzeć do nowych pokoleń,

nie tracąc przy tym swojej poetyckiej i muzycznej głębi.

Gliwicki akcent na scenie

Specjalnie na gliwickie wydarzenie przygotowano premierowe wykonanie utworu tytułowego – „Kraków”. Artur Gotz wykona go w duecie z zaproszonym gościem: gliwiczanką Agnieszką Bielaniak-Witomską, absolwentką Studium Wokalno-Aktorskiego Teatru Muzycznego w Gliwicach. Utwór ten ma szczególną historię, był bowiem jedną z ostatnich piosenek, jakie Marek Grechuta wykonał wspólnie z Arturem Rojkiem i grupą Myslowitz. Wokalistom na scenie towarzyszyć będzie czteroosobowy zespół muzyczny.

Niezapomniane przeboje i znaczące rekomendacje

W repertuarze koncertu znajdą się najważniejsze utwory



Fot. Rafał Bzowski/materiały organizatora

z muzyką Jana Kantego Pawлуśkiewicza. Publiczność usłyszy między innymi takie klasyki jak „Nie dokazuj”, „Ocalić od zapomnienia”, „Korowód”, a także „Starą historię” – jedną z ostatnich kompozycji zarejestrowanych przez Grechutę. Program uzupełni „Karuzela z Madonnami” z muzyką Zygmunta Koniecznego, pierwotnie śpiewana przez Ewę Demarczyk. Wybór tego utworu ma

wymiar symboliczny, gdyż to właśnie twórczość Demarczyk zainspirowała Marka Grechutę do rozpoczęcia kariery wokalne.

Wysoki poziom artystyczny projektu potwierdzają jego rekomendacje. Koncepcja zyskała aprobatę i pozytywną ocenę zarówno ze strony Danuty Grechuty, żony artysty, jak i kompozytora Jana Kantego Pawлуśkiewicza.

mp

KOSMA KRÓL NA TAURON PIĄTKACH KULTURY

Rozgrzane bity i podwójny Popkiller!

W ramach cyklu TAURON Piątki Kultury przed gliwicką publicznością zaprezentuje się Kosma Król – jeden z najgorętszych twórców rodzimej sceny hip-hopowej.

Koncert odbędzie się 14 sierpnia w Ruinach Teatru Victoria. Wstęp na wydarzenie jest wolny, ale ze względów bezpieczeństwa liczba miejsc została ściśle ograniczona.

Koncert wystartuje o godzinie 19.00, jednak już od 18.00 dla uczestników otwarty będzie letni taras ze strefą barową przygotowaną przez Stary Kufel. Wstęp jest bezpłatny, nie obowiązują wcześniejsze zapisy ani wejściówki. Należy jednak pamiętać, że w murach Ruin Teatru Victoria może przebywać maksymalnie 300 osób. Decydować będzie kolejność przyścia, dlatego warto zjawić się na miejscu z odpowiednim wyprzedzeniem. Finał imprezy zaplanowano na 22.00.

Gwiazdą wieczoru będzie Kosma Król, którego muzyczne korzenie mocno opierają się na freestyle'u. Raper ma na swoim koncie pasmo spektakularnych sukcesów. Jest podwójnym laureatem prestiżowej gali Popkillery 2026, z której wyjechał ze statuetkami w kategoriach Progres Roku oraz Alternatywny Album Roku (zdobytej wspólnie z producentem Kacprem Kanią). O rosnącej popularności artysty świadczy również jego marcowy, solowy koncert „Widowisko” w klubie Oczki, który wyprzedził się na miesiąc przed terminem.

mp

JUBILEUSZOWY OTWARTY SALON MUZYCZNY

Wiedeński szyk pod gliwickim niebem

Miłośnicy klasycznych brzmień i elegancji rozrywki mają powody do radości. Już 16 sierpnia zainaugurowana zostanie dziesiąta, jubileuszowa edycja cyklu koncertów plenerowych „Otwarty Salon Muzyczny”. Zespół Muzyki Salonowej ELEGANZA po raz kolejny zabierze słuchaczy w niezwykłą podróż po dźwiękach XIX i XX wieku, serwując zarówno twórczość Johanna Straussa, jak i nowatorskie aranżacje współczesnych przebojów.

Tradycja plenerowych spotkań z muzyką salonową w Gliwicach sięga 2017 roku. To właśnie wtedy zainicjowano projekt, którego głównym założeniem było wyjście z muzyką klasyczną i taneczną poza mury sal koncertowych



Eleganza. Fot. Michał Buksa

i zaproszenie mieszkańców do wspólnego spędzania wolnego czasu w najpiękniejszych przestrzeniach miasta. Od tamtej pory cykl na stałe wpisał się w kulturalny kalendarz Gliwic, gromadząc wokół siebie liczne grono wiernych słuchaczy. Zespół Muzyki Salonowej ELEGANZA niezmiennie dba

o to, by repertuar był niezwykle urozmaicony. Podczas występów można usłyszeć urokliwe walce, dzieła kontynuatorów klasycznej muzyki tanecznej, a także znane i lubiane hity muzyki rozrywkowej oraz motywy filmowe w zupełnie nowych, instrumentalnych aranżacjach.

Tegoroczna, dziesiąta odsłona cyklu przyniesie trzy wyjątkowe, godzinne koncerty. Zgodnie z wieloletnim zwyczajem, wszystkie występy będą rozpoczynać się punktualnie w samo południe, co nadaje wydarzeniom charakter eleganckich, niedzielnych poranków muzycznych. W związku z drobną modyfikacją tegorocznego terminarza koncertowego, uroczysta inauguracja cyklu odbędzie się w malowniczej scenarii Parku Chopina.

Harmonogram tegorocznego Otwartego Salonu Muzycznego 2026 prezentuje się następująco:

16 sierpnia (niedziela), godz. 12.00 – Pierwsze muzyczne spotkanie odbędzie się w Parku Chopina. Sceną dla wirtuozów stanie się przestrzeń tuż pod pomnikiem Fryderyka Chopina.

13 września (niedziela), godz. 12.00 – Wrześniowy koncert przeniesie słuchaczy w otoczenie historycznej architektury. Zespół wystąpi na urokliwym tarasie Willi Caro, będącej siedzibą Muzeum w Gliwicach.

18 października (niedziela), godz. 12.00 – Wielki finał jubileuszowej edycji zaplanowano w egzotycznej scenerii Palmiarni Miejskiej w Gliwicach. To tam, w otoczeniu tropikalnej roślinności, wybrzmiały jesienne akordy salonowej muzyki.

Wstęp na dwa pierwsze koncerty (w Parku Chopina oraz przy Willi Caro) jest bezpłatny. W przypadku finałowego występu w Palmiarni Miejskiej uczestników obowiązuje jedynie zakup standardowego biletu wstępu do samego obiektu. **mp**

ZŁOTE MASKI, GWIAZDY NA SCENIE I WIELKA ZMIANA W KULUARACH.

Kurtyna opada na dawny szyld gliwickiego teatru

Wraz z zakończeniem minionego sezonu artystycznego kończy się pewna epoka dla gliwickiej kultury. Z początkiem września Teatr Miejski oficjalnie zmieni swoją nazwę, zyskując nowego patrona. Instytucja podsumowuje wyjątkowo intensywne miesiące pracy, które obfitowały w premiery, prestiżowe nagrody, działania edukacyjne i rekordową frekwencję.

Miniony sezon teatralny zamknął się imponującymi statystykami. Zorganizowano łącznie 456 wydarzeń – w tym spektakle, warsztaty i występy gościnne – które przyciągnęły 52,5 tysiąca uczestników. Był to zarazem ostatni rok funkcjonowania placówki pod dotychczasową nazwą.

Na mocy uchwały Rady Miasta z 23 kwietnia 2026 roku, od 1 września instytucja zyska miano Teatru im. Tadeusza Różewicza. Dyrektor Grzegorz Krawczyk zaznacza, że starania o patronat słynnego poety – który przez lata mieszkał przy ulicy Zygmunta Starego

w Gliwicach – trwały od samego początku istnienia nowej sceny w 2016 roku. Zmiana nazwy odbywa się za zgodą spadkobierców twórcy, Julii i Kamila Różewiczów, i choć teatr żegna słowo „miejski” w oficjalnym tytule, jego twórcy podkreślają, że w swoim charakterze nadal pozostaje nierozdzielnie związany z miastem.

Pięć premier i prestiżowe laury

W ciągu minionych miesięcy gliwicka publiczność miała okazję obejrzeć pięć nowych produkcji:

„Piotruś Pan. W cieniu dorosłości” (reż. Przemysław Jaszczak),

„Zimny prysznic” (aut. i reż. Fred Apke),

„Ludzie bezdomni” (reż. Wojtek Klemm),

„Przedmiot Prawdy” (reż. Tomasz Man) – polska prapremiera,

„Skąpiec” (reż. Jarosław Tumidajski).

Sezon przyniósł także znaczące wyróżnienia dla zespołu. W marcu teatr uhonorowano dwiema Złotymi Maskami: za najlepszy spektakl uznano „Drakulę” w reżyserii Jakuba



Skąpiec, fot. Michał Buksa

Roszkowskiego (sztuka reprezentowała również miasto na rzeszowskim Festiwalu Arcydzieł), a statuetkę dla najlepszego aktora odebrał Paweł Pawlik za rolę w spektaklu „Odlot!”. Ponadto we wrześniu Maciej Piasny otrzymał Nagrodę Prezydenta Miasta Gliwice za osiągnięcia w dziedzinie kultury.

Festiwalowy blask i poszukiwanie nowych dramatów

Maj upłynął pod znakiem Gliwickich Spotkań Teatralnych. Przez tydzień na trzech scenach wystąpiła plejada polskich gwiazd, m.in.: Anna Seniuk, Da-

niel Olbrychski, Mariusz Bonaszewski, Adam Woronowicz, Małgorzata Hajewska-Krzysztofik czy Arek Jakubik. Festiwal zgromadził blisko 2300 widzów, którym zaoferowano możliwość zakupu kartonów, uprawniających także do udziału w spotkaniach z artystami.

Teatr konsekwentnie promuje również współczesną dramaturgię. W listopadzie rozstrzygnięto IV edycję Konkursu o Nagrodę Dramaturgiczną im. T. Różewicza, w którym triumfował Marcin Teodorczyk z tekstem „Papier, Kamień, Nożyce. Relacje z pogranicza” (premiera planowana jest na styczeń 2027 roku).

Promocja tekstów konkursowych wyszła także poza granice miasta – we współpracy z krakowską AST zorganizowano cykl czytań performatywnych „Światło na Tekst” w Teatrze Barakah, prezentując wyróżnione utwory z dotychczasowych edycji. Czytania odbywały się również w samych Gliwicach.

Edukacja i teatr dla każdego

W minionym sezonie oficjalnie powołano do życia dział edukacji. Zespół prowadził warsztaty wielopokoleniowe, spacer po teatralnych zakamarkach, a także zainicjował działanie grupy dla seniorów „Archiwum Głosów”. Działalność edukacyjna objęła również wyjścia do placówek oświatowych oraz udział w plenerowych piknikach miejskich.

Ważnym krokiem w stronę zwiększenia dostępności instytucji było stworzenie w teatralnym foyer pokoju wyciszeń. Inicjatywa jest częścią projektu „Teatr w zasięgu”, finansowanego ze środków europejskich, którego celem jest otwarcie przestrzeni sztuki na zróżnicowane potrzeby wszystkich widzów. **mp/TMWG**